

Irlandia – Carrantuohill

Pasma: Macgillicuddy's Reeks

Państwa: Irlandia

Najwyższy szczyt: Carrantuohill

Wysokość: 1038 m. n.p.m.

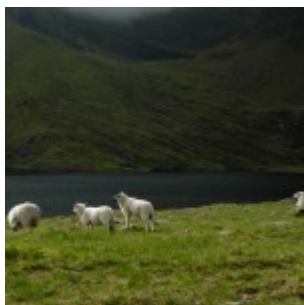
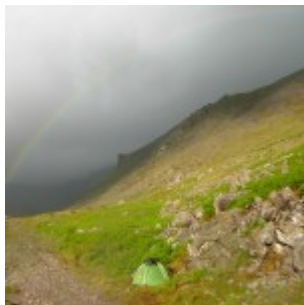
Miejscowość: Killarney-Gortboy

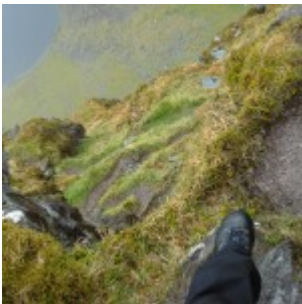
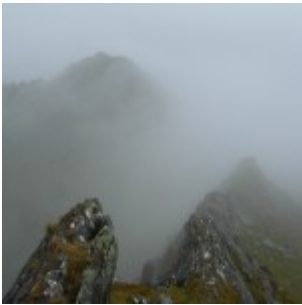
Szacowany czas: 1 dzień



Macgillicuddy's Reeks to góry ładne i przyjemne. Szczególnie jak nie pada. Wszędzie wkoło biegają owieczki. Wilków brak. Miejscowa ludność przyjaźnie nastawiona. Osobiście czułem się tam wolny i szczęśliwy. Myślę, że jeszcze ciekawiej byłoby odwiedzić te góry zimą. Ale obojętnie o jakiej porze roku – polecam i zachęcam.

Galeria





Relacja

Cel – Carrantuohill (1038 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2010

Kto – Dzik

Sobota, późny wieczór, dom w małej miejscowości u podnóża gór. Najedzony, umyty i ogolony siedzę sobie i popijam irlandzkie piwo. A przecież zaledwie parę godzin temu stałem przemoczony w chmurze jakieś 900 metrów wyżej. Skakałem po śliskich skałach ostrej grani i nie miałem pojęcia gdzie spędzę noc. Teraz przypomina mi o tym uczucie zmęczenia oraz stojące w kącie, wypchane gazetami buty. Jak to się stało, że teraz siedzę w gaciach i sprawdzam na laptopie pocztę? Zaczęło się to kilometr stąd, dwa dni wcześniej.

Czwartkowe popołudnie. Miejsce zwane Beaufort Bridge. Kończy się moja podróż autobusem i jednocześnie kończy się kac po zwiedzaniu poprzedniej nocy dublińskich pubów. Z kilkunastokilogramowym plecakiem ruszam asfaltową drogą w kierunku gór. Po 9-ciu km dochodzę do parkingu. Na murku instrukcje dla wybierających się w góry. M.in. było tam napisane „Do not climb alone”. Nie wiem co to oznacza, nie mam talentu do języków obcych.

Maszeruję dalej. Po przekroczeniu rzeczki rzuca mi się w oczy miejsce pokryte grubą, i przede wszystkim zupełnie suchą ściółką. Jak się potem okazało były to jedyne suche 2 metry kwadratowe na całej Wyspie. Idealne miejsce na mój mały domek składający się z samego tropiku i stelaża. W nocy budzą mnie silne podmuchy wiatru i deszcz. Namiot znosi to dzielnie więc bez problemu zasypiam.

Budzę się rano i widzę góry, słońce, i tęczę. Miałem dziś bojkotować irlandzki klimat. W tym celu zamiast utworów

Clannada czy Loreeny McKennitt nagrałem sobie muzykę zespołu Sabaton i Marylina Mansona. Rozglądam się jednak i wiem, że się nie uda. Jest pięknie. Na szczęście wynajduje jeszcze katalog z muzyką Olivera Shanti. Pasuje jak ulał. Jem śniadanie, składam domek i ruszam w górę. Dochodzę do miejsca gdzie zaczyna się strome podejście na grań zwane Devil's Ladder. I znów tabliczka z zupełnie dla mnie niezrozumiałym zdaniem w języku obcym: „travellers are strong advised to avoid the route”. Wyrażenie „advised to avoid” tłumaczę jako „prosto do góry”, więc pnę się po kamieniach do góry i wkrótce stoję na grani. Stąd – już w chmurach – po ścieżce i kopczykach kieruję się na szczyt Carrauntoohil. Dopiero na samej górze zauważam we mgle 5-cio metrowy krzyż. Po powrocie ktoś mnie zapytał co się myśli stając na najwyższym szczycie Irlandii. Ja np. sobie pomyślałem coś w stylu: „Ja pier.ole, nic nie widać”. Ale nic to, ważne, że szczyt zdobyty. Decyduję się teraz potrenować orientację z mapą i kompasem. Po omacku trafiam na odpowiednią grań i wkrótce stoję na Beenkeragh – drugim pod względem wysokości szczycie Irlandii. Zaczyna się coraz bardziej rozpogadzać. Po przeciwległej stronie doliny wyłania się kolejny cel. Jest to Caher, który wraz z poprzednimi dwoma górami tworzy trójkę jedynych szczytów na Wyspie przekraczających 1000 m. n.p.m. Kiedy na nim stoję niebo jest już zupełnie błękitne. Wyraźnie widzę krzyż na szczycie Carrauntoohil. Postanawiam wejść tam raz jeszcze. Taka pogoda w tych górach to podobno rzadko spotykane zjawisko. Wcześniej jednak wchodzę na położony obok wierzchołek o wysokości 975 m. To już w ramach planu wejścia na wszystkie irlandzkie 3-tysięczniki, czyli szczyty o wysokości przekraczającej 3000 stóp. Zatem popołudniu, już przy doskonałej widoczności, siedzę raz jeszcze pod krzyżem. Jest piękna pogoda a mi się nigdzie nie śpieszy. Pełen luz.

Wyluzowałem się tak bardzo, że dopiero po zejściu z grani zauważyłem brak kurtki. Nie mogę uwierzyć – jak można będąc w irlandzkich górach zgubić kurtkę? Jak można w ogóle zgubić kurtkę? A jutro co zgubię? Buta?! Nie mogąc się z tym pogodzić

wbiegam niczym Hussein Bolt raz jeszcze na grań. Kurtki jednak nie widzę. Przez moment rozważam wejście po raz kolejny na szczyt. Nie chcę jednak nabawić się jakiejś awarii na skutek przeforsowania. Zbiegam na dół i powolutku maszeruję w kierunku ujścia doliny. Wymyślam sobie, że jest to znak, że czas najwyższy kupić nową kurtkę. I że ta nowa kurtka życie mi wkrótce uratuje. Z zadumy wytrąca mnie para, która jako ostatnia schodziła ze szczytu. -Did you lose something? – dziewczyna podaje mi moją zgubę. Zamiast się cieszyć zrobiłem minę jakbym był w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przecież ja już sobie historyjkę wymyśliłem. A tutaj co? „Oszukać przeznaczenie”? Ale jak pomyślę o zapowiadanych na jutro deszczach... No dobra, sięgam po kurtkę, dziękuję uprzejmie. Najwyżej jutro ją zgubię. Namiot rozkładam w tym samym miejscu co wczoraj. W nocy znów przychodzi do mnie ten sam żuk, te same pająki i mrówki. I ponownie ten sam schemat, żuka wypraszam na zewnątrz, pająki zabijam, a mrówki... mrówek już nie ruszam. I tak po roznieceniu wstają i idą dalej. Noc jednak różni się tym od poprzedniej, że jest bezwietrzna, a niebo jest zupełnie czyste. Zasypiam przy otwartym namiocie. Nade mną gwiazdy i księżyc w pełni.

Rano pogoda nie jest najlepsza, ale postanawiam zrealizować drugą część planu i przejść się po grani i pozostałych wierzchołkach. Jest sobota, na drodze sporo turystów. Dlatego omijam tym razem Devil's Ladder i wchodzę na górę inną drogą. Przy bardzo kiepskiej widoczności posuwam się granią – zresztą momentami bardzo ostrą – na wschód. Wchodzę kolejno na: Cnoc an Chuillin (958), An Saru (926), Maolan Bui (973), Cnoc na Peiste (988), Big Gun (939) oraz Cruach Mhor (932).

Dochodzę do obniżenia i robię dziwną rzecz. Zamiast podejść ścieżką na ostatnie – 700 metrowe wzgórze i dojść do asfaltowej drogi w Gap of Dunloe, tak jak przecież od początku planowałem, postanawiam trawersować i zacząć już schodzić z gór. Była to całkowicie błędna decyzja. Okazało się, że przez długi czas musiałem przedzierać się przez zarośla i kiedy

dochodzę do zabudowań jestem kompletnie przemoczony i zmęczony. A przede mną jeszcze kilka kilometrów asfaltowej drogi do... no właśnie. Właściwie to ja nawet nie bardzo wiedziałem dokąd idę. I po co.

Kiedy dochodzę do Beaufort Bridge jest 20-ta. Zatem wędruję z plecakiem od 12-tu godzin. Autobusy do Killarney już tego dnia tędy nie przejeżdżają. Stoję na skrzyżowaniu i wmawiam sobie, że jest jakiś powód dlaczego tu jestem o tej porze. Musi być jakiś powód dlaczego nagle zszedłem z gór i stoję tu teraz bezradnie, 10 km od Killarney, skąd dopiero jutro rano mam autobus do Dublina. Aby ten powód poznać musiałem spędzić tam 10 minut. Po takim czasie wystawiam rękę i decyduję się łapać stopa do miasta. A potem... potem zobaczymy co dalej. Po paru minutach zatrzymuje się samochód. Kierowca ma na imię Steve. Podczas jazdy dowiaduję się, że jest muzykiem i dosłownie wczoraj świętował wydanie płyty. Pyta się, czy śpię w Killarney ponieważ zaprasza mnie na koncert, jaki dzisiaj grają w jednej z restauracji. Ja określam mu krótko moją sytuację. Steve puszcza płytę z irlandzką muzyką. Podaje mi pudełko i pokazuje na mężczyznę na okładce. Mówi – „Prześpisz się więc u niego”. I tak, po drobnych zakupach w mieście ląduję z powrotem w Beaufort. W domu, w którym mieszka Aaron i Brendan, a także tymczasowo Steve.

Po obiedzie Brendan i Steve jadą na koncert. Ja postanawiam zostać, żałuję tego bardzo ale czuję, że tego dnia nie utrzymam się już długo na nogach. Do późna rozmawiam z Aaronem. Dowiaduję się od niego m.in., że zna sławnego irlandzkiego polarnika i jedyne go człowieka na świecie, który dwukrotnie wszedł na najwyższe szczyty każdego z kontynentów, w tym oczywiście również na Everest. Ten człowiek to Pat Falvey i... mieszka parę domów dalej. Żałuję, że nie mogę zostać tu chociaż dzień dłużej. Ale i tak jest pięknie: sobota, późny wieczór, dom w małej miejscowości u podnóża gór. Najedzony, umyty i ogolony siedzę sobie i popijam irlandzkie piwo...

Rano jem śniadanie i szykuję się do wyjścia. Na żadnego z

lokatorów się nie natknąłem. Może odsypiają koncert. Zostawiam notkę i idę na to samo skrzyżowanie co wczoraj wieczorem. Dziś świeci słońce i jest piękny dzień. Do tego mam wyjątkowe szczęście, bo od przyjscia na przystanek już po minucie przyjeżdża autobus do Limerick. Szczęście albo i nie. Bo tym samym zakończyła się przygoda z irlandzkimi górami.

Dla miłośników klimatu: jeden z utworów Brendana znajduje się w linku

<http://www.myspace.com/brenosullivan>

Na zakończenie cytaty z książki Pata Falvey'a:

„IF YOU THINK YOU CAN, YOU WILL. IF YOU THINK YOU CAN'T, YOU WON'T”

– END –